

# Łona i Webber, Niepogoda

I.

Deszcz, znowu deszcz, deszcz z recydywy.  
Kurwa. Czy to musi tak dzwonić o te szyby, ten psubrat?  
I te dżdże tu tłuc w mój sektor?  
Tu naprawdę jak nie urok, to pech to. Zresztą chuj niech to.

A to słońce też – niby w oddali,  
aż nagle – hop, zza rogu wyskoczy, by wzrok wypalić,  
jak napalm jakiś, czy papa gorąca w chuj.  
Jak by to nie lata był ostatni dzień, lecz mój.

I znowu słota i siąpi,  
więc brnę przez te błota, głównie żeby klnąć, brnąć i wątpić.  
Jeszcze ten wiatr pierdolony,  
to już może kruki niech się kurwa zlecą. Kruki oraz wrony.

Nie zlecą. Też chcą pryskać stąd,  
przez ten upał, co tak dusi i dociska w głąb  
i co mi tych elektrolitów cennych zabiera pakiet...  
Jak bym po wczoraj jeszcze miał w ogóle jakieś.

Ile to można znosić? Jak długo?  
Ten skwar na zmianę z tą depresyjną szarugą?  
Ten żar, co usypia w moment, że nie skumasz nawet  
i ten deszcz? Wielki mi deszcz, kurwa – suma mrzawek.

To nie pogoda, to kpiny,  
aż szkoda tej ni niziny, ni wyżyny, ni równiny.  
I żal mnie ciągnie w dół, łeb zadzieram w górę za to  
i z nadziei resztką czekam na jakąś...

ref.

Burzę. Burzę. Może by tak burzę?  
Bo czemuż by nie burzę?  
I wichurę – dla tych wierzb i grusz to znak problemów,  
dla mnie to wreszcie dawka tlenu,

w sam raz na burzę. Piękną burzę.  
Nie miękką burzę, a mocną burzę, że mam w głowie błysk od powtórzeń.  
Może nawet ciut za gęsto to strobo,  
ale wreszcie jakieś pokrewieństwo z pogodą.

Jeszcze iskrzy się iskra mocna,  
wciąż jest granie na kotłach pod ostry bój.  
Ale natura rzeczy tu z natury przewrotna,  
więc znowu chwilę to potrwa i... Ech...

II.

Szkoda gadać. Wraca bieda i stres,  
nieważne, czy to żar się leje znowu z nieba, czy deszcz.  
Szkoda gadać, ale nie gadać też głupio jakoś,  
gdy można jak prawdziwy meteopata z meteopata:

bon motem jakim błysnąć w porę,  
że jak pogoda pod psem, to my pod mocnym aniołem  
i że wichura tutaj, proszę; zerwie dach lub stryszek,  
a trzcinaż zaledwie tylko kołysze.

Złych myśli się wije szereg,  
gdy od deszczu tak gnije teren, gdy słońce tak ryje берет.

Może do gardeł sobie skoczyć, ale potem jeszcze głębszy marazm,  
także chuj; nawet to nie działa.

Stoimy w tej matni:  
mało figlarni, więcej oklapli, solidarni w meteopatii  
i wciąż wróżby, prognozy, wciąż liczby:  
czy to jutro znów przyżarzy, czy przydźdzy.

Ale niech tylko błysnie horyzont –  
choćby raz, choćby i w oddali, choćby krzywo.  
Niech tylko w tle zadudni zapowiedź:  
mija marazm, aparat odzyskuje mowę.

Niech zaświszczy halny:  
wreszcie wiemy po co iść i dokąd; specjaliści od nawałnic,  
tak powyrywani z tych bolesnych odrętwień.  
Boże, jak tu bywa pięknie. Jak jest...

ref.

Burza. Burza. Może by tak burza.  
Wreszcie jakaś burza.  
I wichura. Dla tych wierzb i grusz to znak problemów,  
dla nas to wreszcie dawka tlenu,

w sam raz na burzę. Piękną burzę,  
nie miękką burzę, a mocną burzę, że masz w głowie błysk od powtórzeń  
może nawet ciut za gęsto to strobo,  
ale wreszcie jakieś pokrewieństwo z pogodą.